

550.880/9

TEATR DLA MŁODZIEŻY MĘSKIEJ
Nr. 9



ZBIGNIEW TOPÓR

ZBIÓR MONOLOGÓW

ZESZYT I

WYDANIE TRZECIE



P O Z N A Ń 1 9 3 0



MONOLOG.

Cechą charakterystyczną monologu jest ton żartobliwy, wesoły, nierzadko zawadjacki; humor ten jednak nie powinien przekraczać ram przyzwoitości, ani trącić wyuzdaną hulaszczęścią lub w żartach graniczyć z bezwstydem, niezdrowym szyderstwem, czy cynizmem.

Zadaniem humorystycznego monologu jest wzbudzić szczerzy śmiech w słuchaczach, ubawić ich w ten sposób — znużonym umysłem sprawić rozrywkę.

Moralizatorstwo natrętne i niezgrabne nigdy w takim monologu prawa obywatelstwa nie miało i nie ma. Sensu atoli moralnego, pouczającego delikatnie, a wesoło — o pewnych przepisach towarzyskich, prawach i obowiązkach ludzkich, a nawet i zasadach życiowych z monologu humorystycznego wykluczać nie można.

Przy wygłaszaniu monologu obowiązują te same zasady co przy deklamacji, a więc: czysta i wyrazista wymowa, dostosowanie tonu i akcentu do treści utworu, barwna, nie jednostajna recytacja. Dochodzi tu jeszcze moment aktorski i sceniczny, a więc pierwiastek dramatyczny. Osoba, wygłaszająca monolog, ma większą niż deklamator swobodę w posługiwaniu się gestami i mimiką, naśladowaniu ruchów zewnętrznych i wyrazu twarzy, podpatrzonych u innych. Może ona i do siebie mówić i do publiczności, może zachowywać się tak, jakby z drugimi, nieobecnymi osobami rozmawiała i dawała im odpowiedzi. Jednem słowem monologista — odgrywa swą rolę. Ma zatem prawo — o ile treść monologu na to pozwala albo tego żąda — chodzić, biegać po scenie, może wdziać na siebie kostjum, a więc występować przed widzami niejako w „kłamanej”, bo nie w swojej postaci.

W życiu naszych Stowarzyszeń Młodzieży używa się monologu jako środka urozmaicającego na zebraniach i wieczornicach.

Praktyczne wskazówki, którychby trzeba zwłaszcza młodzieży udzielić, dadzą się streścić w następujących punktach. Należy:

1. Wyuczyć się monologu doskonale na pamięć. Najlepiej uczyć się głośno, wymawiając wyraźnie każdą głoskę; następnie stosownie do treści monologu głos zniżać, mówić głośniejszy czy ciszej, prędzej czy wolniej. — 2. Wmyśleć się i wczuć w treść i nastrój wygłaszanego utworu. — 3. Postać, którą się przedstawia, oddać wiernie z jej charakterem. — 4. Ze słuchaczami względnie widzami — bo słuchacze monologu są i widzami równocześnie — utrzymywać kontakt, wychodząc z zasady, że dla nich w pierwszym rzędzie wygłasza się monolog. — 5. Nie przesadzać w karykaturowaniu postaci. — 6. Nie dodawać swoich, nie zawsze humorystycznych i dobrym tonem nacechowanych uwag, słów, wykrzykników, zdań, ruchów itp. scenicznych przyczynków i ozdób.

ZAPISZĘ SIĘ.

(Scena przedstawia polankę w lesie. Na środku może leżeć jakiś kamień lub pień. Wchodzi młody człowiek w kapeluszu, z kijem i papierosem.)

Ach, *(ziewa)* jak tu nudno! *(Siada na kamieniu.)* Niema co robić; szkoda, że nie zostałem w domu. *(Ziewa, przeciąga się.)* Papieros mi zgasł *(szuka po kieszeniach)*; ach, nie mam zapalek *(odrzuca papierosa)*. A! rzeczywiście pech! *(Siedzi zamyślony.)* W mieście toby człowiek poszedł teraz do knajpki... napiłby się piwa, zagrał w bilard; a tak, tu w lesie?... Chociaż i w restauracji teraz nudno, bo ani Stach, ani Wojtek, ani Kazio tam nie przychodzą... Dawniej ho! dawniej lepsze bywały czasy. A teraz? Spotkam *(wstaje)* Kazimierza. *(Udaje, że się z kimś wita.)* „Chodź na partyjkę” — powiadam. *(Naśladuje:)* „Ja? Człowieku, ależ ja nie mam czasu!” — „Gdzie pędzisz?” *(Naśladuje:)* „Na zebranie, na zebranie”. *(Goni niby kogoś.)* „Momencik!” — Gdzie tam, już go poniosło!... *(Chwila milczenia.)* Spotykam Tomasza. — „Tomek, stójno!” — wołam, witamy się. *(Udaje, że się z kimś wita.)* „Wiesz, wymyśliłem nowy sposób zbijania kul. *(Pokazuje,*

jakby na bilardzie.) Tu, tu, raz, dwa, trzy (*celuje*) krach! i jest!" — (*Ogląda się.*) Oglądam się, (*patrzy*) patrzę... tego zwiąło... poszedł... Wołam: — „Tomek”. — A on kiwa z daleka (*kiwa ręką:*) — Do widzenia, do widzenia!"... — Co się z nim stało? Może ktoś myśli, że zemdłał, zaniemógł, został aresztowany, wpadł w rynsztok, złamał nogę, uciekł przed złodziejem, czy wyemigrował na Kamczatkę? Nie, (*z przekąsem:*) on tylko poszedł na zebranie!... (*Siada, odkłada kapelusz i kij. Po chwili:*) — „Skąd idziesz?” — „Ze zebrania” — „Dokąd idziesz?” — „Na zebranie”. — „Kto ci mówił?” — „Prezes na zebraniu”. — I tak dalej i dalej, każdy: Wojtek, Janek, Tomek, Michał, Stach, Kazimierz... bez końca gadają: — „zebranie, stowarzyszenie, prezes, sekretarz, członkowie”. — A ja? — Jak głupi słucham! Wreszcie, nareszcie przypomni się tam któremuś. (*Naśladuje z przekąsem:*) — „Ach! ty nie należysz przecież do Stowarzyszenia, nieprawda?” — (*Ze złością:*) — „Nie, nie należę”. — (*Naśladuje:*) — „Przepraszam, przepraszam, to ciebie nie zajmuje wcale”. — I zostaję sam, bo oni wszyscy odeszli radzić nad sprawami Stowarzyszenia. Zostaję ja... (*pokazuje*) mój kij, (*pokazuje*) i mój kapelusz. Ostatecznie przyczepi się do mnie ten głupi Jędrus z rynku. Przyjemna kompanja, rzeczywistość. (*Po chwili:*) Wszyscy jakby uwzięli się na mnie. Starsi obywatele mają związki zawodowe; nasze dostojne staruszki mają zgromadzenie dobroczynne; nasze panienki (*z ironją:*) mają stowarzyszenia naukowe... (*ze złością:*) he, he, he, takie gąski! Daw-

niej wspomniałem o przyjacielu z Berlina, o kinematografie w Bydgoszczy... o jakimś romansie kryminalnym, wszystkie dziewczęta spoglądały na mnie z podziwem. Dziś? *(Zrywa się wymachując rękoma.)* Mickiewicz, Sienkiewicz, społeczeństwo, wykształcenie, polskość, oświata... trajkoczą, trajkoczą ciągle *(z żalem:)* a mnie prześmiewają, przedrwiwają. Tak samo teraz. Jest majówka Stowarzyszenia Młodzieży. Ja nie zapisałem się dotąd na członka, więc unikają mnie prawie, jak zapowietrzonego. *(Chodzi po scenie.)* Z początku było nas takich więcej; śmialiśmy się z tych co zakładali Stowarzyszenie... A teraz? powoli wszyscy z naszego grona przystąpili do tamtych... zostałem tylko ja... mój kij, mój kapelusz, no i ten głupi Jędrzek z rynku. *(Staje, ze smutkiem:)* Ojoj-oj! Jak to nieprzyjemnie! *(Ziewa kilka razy.)* Oj-oj-oj jak to nudno!... *(Ze złością:)* Ja nie mam tyfusu, szkarlatyny, ospy, kataru, ani bzika... Tyle tylko, *(żenując się:)* że lubiłem czasem sobie tego... pobumblować trochę... Dziś? nawet i to mi zbrzydło... Powieszę się chyba. *(Rozgląda się po drzewach.)* Szkoda kołnierzyka; pobrudziłby się, a mydła nie ma... sznurki drogie... Nie! nie powieszę się! Ale wiem co zrobić! Ani się nie otruję, jakby może kto przypuszczał, ani się nie zastrzelę, ani się nie utopię. Nie! ale... ale..., zaraz dziś jeszcze pójde... i — *(pauza)* zapiszę się na członka tutejszego Stowarzyszenia Młodzieży. Do widzenia na przyszłym zebraniu! *(Bierze kij, kapelusz, klania się i odchodzi.)*

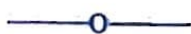
BEZ URZĘDU.

(Młody człowiek chodzi wzburzony po estradzie.)

Tak! tak to bywa w naszym społeczeństwie. Najlepsze stowarzyszenia rozpadają się, najlepsze instytucje giną. Dlaczego? Otóż dlatego, że nie umie się ocenić tych, którzy są stowarzyszenia tego chlubą i podporą... *(Ze złością:)* Wybiorą na przykład kogoś tam z brzegu na prezesa, bo *(z przekąsem)* ukończył kilka klas... jest uczony, mądry... Czemu mnie nie wybrali? Jabym im pokazał, jak się prowadzi zebranie... Ha! jabym zaraz wyprosił z koła tych, którzy mi są niemili; jabym pokazał! — Co prawda przemówić o czymś z historii, czy z innych nauk nie umiałbym prawdopodobnie... i tak zresztą zaagać zebranie to też nie bardzo... *(Staje wprost podnosząc dłoń; próbuje:)* — „Szanowni członkowie! Urząd, który przyjąłem należał mi się słusznie — i zrobiliście rzeczywiście rzecz mądrą, żeście mnie wybrali”. — Nie! nie tak!... *(Stając bokiem podnosi obydwie ręce; uroczyście:)* — „Szanownym członkom oznajmiam, że raczę zostać ich prezesem, za co przyjmuję serdeczne podziękowanie”... — Nie — nie — jeszcze inaczej... Po co to „Szanowni” na początku; zupełnie niepotrzebne... *(Staje jeszcze inaczej, poważnie:)* — „Członkowie jestem prezesem, bo tak chciałem i bo między wami nikogo lepszego niema — bo wszyscy jesteście... *(Ucina; powoli z ironją:)* Zresztą mniejsza o przemowę — mógłby zastąpić mnie wiceprezes... Ale *(wymachując rękoma ze złością:)* nie rozumiem, nie rozumiem, jak oni mogli wybrać nie mnie na prezesa; *(z rozpaczą:)* ani jednego głosu za mną — ani jedne-

go... *(Po chwili z ożywieniem:)* No, ale powiedzmy, że przepatrzyli się, po prostu... zapomnieli. Czasem zapomina się o rzeczach najważniejszych — *(ze złością:)* ale pozostawał jeszcze urząd prawie równoznaczny — urząd wiceprezesa — i znów mnie pominięto... Dlaczego?... *(Z przekąsem:)* Ha no, bo druh X. jest doświadczony — był długo sekretarzem, pracował w licznych stowarzyszeniach od dawna — tak, tak, a ja nie! *(Z żalem:)* A czy to moja wina? Cemu mnie nie wybrali prędzej? Co prawda, to raz podczas dyskusji o sprawach towarzystwa, powiedziałem, że wiceprezes to jest malowany pajac... bo też dokuczył mi do żywego o jakiegoś tam Mickiewicza, który mi się z Sienkiewiczem pomylił... Ach, wielka rzecz? Nie wiedziałem, co to szkodzi? Tak! *(ze złością:)* malowany pajac! malowany pajac!... jeszcze raz powtarzam *(krzyczy:)* ma-lo-wa-ny pa-jac! Bardzo się cieszę, że nie jestem wiceprezesem. Okropnie głupi urząd. — *(Chodzi po scenie; po chwili:)* Mój kolega szkolny został sekretarzem... Mój kolega *(z ironją:)* był to zawsze mazgaj — ani papierosów porządnie palić nie umiał!... Czasem tam którego wykurzył, ale rzadko. W karty z nami nie grał *(macha ręką)*, mniejsza o to! Był mazgaj! Siedział drugi w klasie. — Nauczyciele mówili, że ślicznie pisze... *(Ze złością:)* Niech pisze! pisze!... Niech się zapisze; wcale mu nie zazdroszczę — wcale! Ciekaw jestem czego? Urzędu sekretarza? O — jej! wielka mi rzecz! *(Do siebie:)* Mogli mnie wybrać — napisałbym jak w książce... *(Chodzi po sali; po chwili:)* Naturalnie jak się na kogo uwezmą, to nie popuszczają

nawet skarbnikiem nie zostałem, ani niczym zastępcą... Nasz skarbnik świetnie liczy — jest obowiązkowy i uczciwy — ale czyż to potrzebne? — Powiedzie państwo?... Po co, na co? Czyż to ja nie mogłem zajmować jego miejsca? (*Ocierając łzy:*) Przynajmniej móc usiąść za stołem — za stołem, naprzeciwnie wszystkich... o Boże. (*Po chwili smutnie:*) Żadnego urzędu... (*zwiesza głowę*) żadnego urzędu... (*Jeszcze smutniej:*) żadnego urzędu. — (*Ociera oczy; po chwili z gniewem:*) I dlaczegoż mam należeć do takiego stowarzyszenia? Dlaczego?... dlaczego? (*Podnosząc dłoń:*) O biedne społeczeństwo nasze! biedne społeczeństwo nasze! biedne społeczeństwo, gdzie takie dzieją się niesprawiedliwości!... Nie! do tego, do takiego stowarzyszenia już stanowczo nie będę dalej należał. (*Dumnie:*) Ja, proszę państwa, wstąpię do takiego stowarzyszenia — gdzie każdy członek będzie... prezesem!



NIE USTĄPIĘ.

(*Młody człowiek wchodzi na scenę, siada przy stoliku.*)

Czuję się dotkniętym, obrażonym. Ublizono mi... Tak, rzeczywiście nie wiem jak to określić, jest mi nieprzyjemnie... ale... ale będę musiał wystąpić ze stowarzyszenia... bo... bo jestem obrażony. (*Chwila milczenia. Wstaje i mówi z ożywieniem:*) Tego już darować nie mogę!... Nie mogę!... Zemścić się muszę!... Było tak: przychodzę na zebranie (*idzie do drzwi,*

obraca się, jakby wchodził), ścisk przy drzwiach. Naturalnie nie będę łokciami drogi sobie torował. Co-fam się (*cofa się, zakłada ręce na piersiach*), czekam. (*Ze złością:*) Wchodzą, pchają się, cisną... i żeby to który przywitał się ze mną... nie! Raz po raz ktoś spogląda, obraca się, uśmiecha... słysząc nawet uwagi: — „Stoi jak latarnia na ulicy”. — „Nie, jak słup, przylepimy do niego plakaty: Cyrk Medrano”. — „Cicho! on zrobił ślub pokory; wszystkich musi naprzód wpuścić. — Tego było mi już za wiele; powiedziałem im, że to dowcipy uliczników, odepchnąłem kilku na bok i wszedłem na salę. (*Pokazuje to.*) A tu znowu!... Wszystkie przednie miejsca zajęte, (*rozgląda się*), idę... Mówią, że niema miejsca. Też przyjemność!... Musiałem cofnąć się. (*Z oburzeniem:*) Żeby to który wstał, ustąpił, o nie! Nawet mnie nie przeproszono — jeszcze któryś syknął, że trąciłem, któryś popchnął mnie umyślnie... Spytałem, co to ma znaczyć? Chciałem tego pana pociągnąć do odpowiedzialności.. a tu już dzwonek przewodniczącego i głos sekretarza. (*Naśladuje:*) — „Spokój — prosimy o ciszę”. — Jakby umyślnie do mnie: — „Z tyłu miejsca wolne — siadać prosimy”. — Jak jeden mąż wszyscy obrócili się ku mnie. (*Pokazuje.*) Wykrzywiłem im się (*pokazuje*), bo taki byłem zły... Na to śmiech ogólny. Musiałem być czerwony jak rak. A tu znów sekretarz tym razem wprost do mnie: — „Druhu, prosimy nie przeszkadzać”. — Ostatecznie klapnąłem gdzieś (*sia-da*), ale poprzysiągłem zemstę!... (*Pauza.*) Nie wiem nic z tego, co mówiono. Od wczoraj chodzę jak błędny — koniecznie muszę wystąpić ze stowarzyszenia —

albo... (*Namyśla się, potem nagle uderzając się w czoło:*) Wiem już co zrobię! Na przyszłe zebranie przyjdę na czas, zajmę najlepsze miejsce (*rozsiada się wygodnie*) i (*uderzając w stół*) nikomu nie ustąpię!...

—O—

WYJĄTKOWY MŁODZIENIEC.

(*Młody człowiek wpada nerwowo na scenę; kłania się, poprawia kołnierzyk, mankietki, chrząka, ogląda się za siebie, chrząka znów, potem mówi nerwowo.*)

Sza-nowna publiczności! (*Do siebie:*) I co dalej? co dalej? (*Chrząka.*) Sza-nowna publiczności (*obciąga zakiet*) to wielce szanowna! (*Do siebie:*) Jak było? — Acha! coś od nieba, już wiem... (*Szybko, kłaniając się:*) Wielce szanowna publiczności! Gdy niebo wysokie, gdy gwiazdy z nieba na ziemię, to jest chciałem powiedzieć, gdyż z ziemi gwiazdy ku niebu świecą, świecą, gdy więc... (*Chrząka i do siebie:*) Nie — stanowczo nie mam pojęcia. (*Odwraca się i w głąb sceny woła:*) Julek na miłość boską dawaj! Julek! (*Do publiczności:*) Przepraszam, ja tego, zaraz, ten, ja więc szanowna publiczności chciałem wyjaśnić, że kiedy niebo, niebo... (*Milczy chwilę bezradnie.*) Boże kochany! przepraszam, przepraszam bardzo, ja, ja wyjdę, — jest mi duszno, zaraz wrócę. (*Wybiega; za sceną:*) Julku! Julku! zlituj się! gdzie jesteś? — Nie-ma go! Ja nie pamiętam! Będzie kłapa, jest kłapa. Wszystko przez niego! (*Wraca na estradę — z rozpaczą:*)

Ludzie kochani, miejcie litość nademną, Jestem w okropnem położeniu. Oto jego niema... Surdut... mój surdut... był w kieszeni, to jest surdut jego w kieszeni, tylko Julek, to znaczy, chciałem powiedzieć... Ach! jestem cały rozstrojony, zdenerwowany, zgrzany do ostateczności. Nie! drugi raz nie będę należał do artystów. — Ale dokąd on poszedł? (*Biega po estradzie.*)

Jeszcze deszcz padać zacznie i surdut mi zmoknie (*Po chwili spokojniej:*) Ale przepraszam, widzę, że państwo niecierpliwią się. Otóż wytłomaczę rzecz od początku. Miałem deklamować, bo któż mógłby zrobić to lepiej niż ja? (*Siada we fotelu.*) Bo — przede wszystkim mam odpowiedni wygląd. (*Wstaje i obraca się na wszystkie strony z pyszną miną.*) Nieprawda? (*Siada znów.*)

Następnie głos... ha! jaki głos! żebyście państwo widzieli. Kiedy zaśpiewam na mszy św. „Anioł Pański“, albo w czasie wielkanocnym: „Hej, w dzień Narodzenia“ — wypraszam sobie uwagi i śmiech. — Otóż gdy zaśpiewam, to wszystkie chorągwie w kościele ruszają się i łopocą, bo stoją naprzeciwko właśnie, łopocą... (*Po chwili:*) Tak! no i pamięć mam doskonałą. Że, dziś właśnie, nie mogłem przypomnieć sobie, kilku słów z początku tej nieszczęsnej deklamacji, to ze zdenerwowania, to ten surdut. Bo zresztą, jestem człowiekiem wyjątkowym. O! wiem o tem! Czuję to... Bezemnie żadna zabawa, żadne przedstawienie udać się nie może. Nie! — Ja ożywiam wszystko. I tak dziś... Któż byłby wystąpił godniej? (*Wstaje i z podniesioną prawicą:*) Sza-szanowna publiczności!

Kiedy niebo na gwiazdach powiesi, powiesi ziemię...
a ziemia na niebie powiesi, powiesi gwiazdy... a serce
tak... a serce tak? — (*Do siebie:*) Coś było, o czemś,
o czemś? (*Ze złością rzuca się na krzesło.*) Ach, za-
pomniałem! (*Po chwili:*)

Bo, słyszane to rzeczy? aby kolega koledze...
przyjaciel przyjacielowi? Nie! jabym nigdy tego nie
zrobił! — — No to też ze mną każdy równać się nie
może. (*Zakłada nogę na nogę.*) Jestem przecież du-
szą całego miasta. Każdy pyta mnie o radę, o słówko.
Niedawno pan X-icz powiada do swojej żony, słysza-
łem na własne uszy: — „Ten chłopczyk, to czysty
baran!” — to jest, chciałem powiedzieć: baron! —
Umiał widocznie ocenić mnie odpowiednio. — I dziś
też, deklamacja moja jest punktem najważniejszym
przedstawienia. Czyż nie tak? Otóż ja bez wątpie-
nia powiedziałbym całość, tylko że, że przypadkiem
nie dopisuje mi pamięć... Naturalnie! ludziom wy-
bitnym, genjalnym, trudności kładą się właśnie w po-
przek drogi, trudności, przeszkody rosną, a ja (*zrywa
się*) depcę je! Zmagam się z niemi! — (*Wykonuje
ruchy odpowiednie.*) Powalam o ziemię! — Zwycię-
zam! (*Stoi chwilę jak zwycięzca-generał.*) I tak stało
się też ze surdudem. Zwyciężyłem go! Tam, gdzie
niktby nie wybrnął, ja wybrnąłem. Oto leży! (*Wska-
zuje ręką na ziemię, potem nagle:*) Surdut? Ach! mój
surdut? Ach! mój surdut?... nie!... to ten — Julek —
wyobraźcie sobie drodzy państwo (*z rozpaczą:*) było
tak: Julek ma surdut — jaki to tam surdut zresztą,
nie równa się mojemu to znaczy, to jest właściwie ten
sam surdut, tylko na mnie bezwarunkowo układa się

on inaczej, piękniej, nieprawda? (*Obraca się na wszystkie strony obciągając ubiór.*) Co za krój, jaka linja... Ha! tak wyglądać mogę tylko — ja! — Ale, bo zdaje mi się, nie skończyłem. (*Siada.*) Ach! myśli w mej głowie tyle co wróbli — na dachu. To ciężko jednak być wyjątkowym człowiekiem — bo tyle zaburzeń w środku — w głowie, raczej w duszy, która czuje... czuje... mastykę — czy mistykę, już zapomniałem jak to było. — (*Nagle zrywa się, nadśłuchuje.*) Idzie! idzie! słowo daję, idzie! A dopiero się zdziwi, że bez niego deklamowałem. Bo musicie wiedzieć, moi państwo, że kiedy Julek pożyczył mu surduta, ja musiałem mu dać mój surdut tymczasem; potem, jak on wystąpi zamienimy surdut. Zobaczycie różnice. Oho idzie! (*Z wielką radością:*) Idzie! A to się chłopak zdziwi! Bo musicie wiedzieć, moi państwo, że ja głupiec — to jest nie to, nie wolno mi ubliżać, tylko, że wiele mając myśli, będąc człowiekiem wyjątkowym, zapomniałem kartkę z wierszem w kieszeni surduta... Właśnie z tem co mam deklamować. (*Nadśłuchuje.*) Ale idzie Julek, idzie! (*Woła w głąb za kulisami:*) Dawaj kartkę, dawaj prędko! Na lewo... na lewo... w tej większej kieszeni, z tą szarą łąką. O! dobrze! człowieku! ratujesz mnie! (*Wraca z kartką, staje, kłania się.*) Sza-no-wna publiczności! Oto gdy niebo... gdy, gdy, gdy niebo zawoła (*patrzy w kartkę, nagle z rozpaczą:*) rachunek od krawca!!

—o—



ZAWODOWY WIERSZOKLETA.

(Młody człowiek w pelerynie, w czarnym kapeluszu o szerokim rondzie chodzi tam i z powrotem po scenie — gestykulując żywo i wyrzucając z ust raz po raz urywane słowa.)

— „Zielono (głośniej:) fioletowo (głośniej:) niebiesko (prędko:)

Żółto, żółto (wolno z zachwytem:) biało...

W mojej głowie! (Wolno:) Wielkie morze (wolniej:) mądrości się roz?... łało.

Na morzu (z powagą:) pływa ryba (z zachwytem:) z ogonem (pokazuje:) tak długim.

(Zadowolony wskazuje z dumą na siebie.)

To jestem ja... poeta. — Nie równać mię z drugim". —

(Nagle do publiczności — ponuro:) Czy niema tu jakiego redaktora? (Z ożywieniem:) Myślę, że nie! A więc mogę wypowiedzieć się śmiało. Otóż wszyscy redaktorzy — bez wyjątku — są to ludzie zmaterjalizowani, ludzie o niskim poziomie kulturalnym — ludzie bez polotu, bez duszy. (Deklamuje:)

— „Jaszczurki, wampiry, mrówki

Głowy wasze, jak makówki.

Serca wasze? gniazda osy.

A żmije lepkie, pokrętne, długie,

To wasze włosy". —

Niech wzlecę — wzlecę — gdzieś! nie wiem gdzie — gdzieś wysoko. — Niech zapomnę przez chwilę, że są jakieś redakcje, że są jacyś redaktorzy — ten naród filistrów. — Och! nie umiejący ocenić prawdziwych artystów. — Ale — był rym, śliczny rym! mu-

szę sobie zapisać — przyda się... (*Wyciąga zeszyt, ołówek z kieszeni i zapisuje.*) Artystów — filistrów! Filistrów — artystów — cudnie! Tak nienawidzę ich — tych redaktorów! — Dlaczego? Historia, jak tyle innych — jakby z życia Dantego czy Wirgiljusza — moja historia! — Otóż wyobraźcie sobie (*do publiczności:*) przyjaciele, ja, jak wiadomo, poeta — i to wszechstronny — pozwolę sobie zaznaczyć mimochodem, że mam budowę czaszki (*pokazuje:*) zupełnie taką, jak Wyspiański. — Otóż ja, nie chcąc trzymać dłużej w tece moich arcydzieł, nie chcąc napawać się nimi tylko egoistycznie — ale przeciwnie, zrobić coś dla społeczeństwa, dla bliźnich — wybrałem tomik wierszy i niosę do redakcji. — Myślałem — pozna ją zaraz po oczach, po czole kto jestem. Ale gdzież tam?! — Redaktor, człowiek gruboskórny, zamiast wybiec naprzeciw, zblednąć ze wzruszenia i tak dalej... on... pyta mnie się najspokojniej w świecie. (*Przez nos:*) — „A czego?” — Wytłomaczyłem z przymusem, bo człowiek ów był mi wstrętnym. — (*Przez nos:*) — „No — to dalej! Przeczytaj pan coś — zobaczymy”. — Myślę: teraz obudzi się w nim dusza... zrozumie.. Więc czytam. (*Czyta z zeszytu głosem płaczącym:*)

— „Pod, pod, pod... pod tą górką
Zgubiła gąska piórko.
Za, za, za... za tym płotem
Pogryzł się piesek z kotem.
Na, na, na... tem drzewie
Co się stało? (*Cicho, tajemniczo:*) Nikt nie wie...
(*Milczy z oczyma wzniesionymi w górę:*)

— „Dosyć — dosyć! — woła redaktor — co innego!” — Prawdopodobnie ze wzruszenia nie chciał słuchać dalej... bo i mnie zrobiło się rzewnie... Och!... Więc przerzuciłem kilka kartek i znowu. (*Czyta z zeszytu głosem rozpaczliwym, ilustrując słowa odpowiedniami ruchami.*)

Na pustyni lew płowy
Wygryzł mi włosy z głowy.
A wielka, prądkowana tygrysica,
Oblizwała moje lica.
A hijeny, podwinawszy kity
Uczyniły straszne zgrzyty.
I słoń podniósł na mnie trąbę
I rzekł: Tyś jest poeta! Nie zapomnę!” —
(*Chwilka milczenia, potem mówi:*)

Redaktor milczał — to mnie zachęciło, więc zacząłem improwizować t. j. mówić wierszem:

Pójdźcie! pójdźcie! — Dusza wielka
Gromadzi w sobie myśli, jak wodę butelka.
Myśli kapią jak deszcze — głowa ma jak beczka,
A w środku czaszki świeci rozum, niby świeczka!

(*Chwila milczenia.*) Redaktor znowu nic! — Zastanowiło mnie to — patrzę — a on najspokojniej w świecie przepisuje coś do książki... Przestaje mówić — milczę, czekam... a on... nic! — „Panie redaktorze” — zaczynam. (*Przez nos:*) — „A czego? To pa-an? Myślałem, że pan już poszedł”. — Oniemiałem! — Co mówić na takie grubiaństwo? — „No, więc prędejj!” — woła redaktor, tym razem już z widocznym wzburzeniem w głosie. — „Moje wiersze”... — powiadam. „Pańskie wiersze?” — A co ja panu ukradłem? Cze-

go mnie pan tu nachodzi?" — „Ależ panie, do druku" ... wykrztusiłem, blednąc z irytacji. (*Przez nos:*) — „Ach ta-ak — he... he... he!" — Zaczyna się śmiać: — „Dam panu radę: oto schowaj je pan do zimy, te wiersze, a potem je pan przynieść do redakcji, podpalamy w piecu, bo tu piekielnie zimno zawsze — co? Podpalimy sobie.... he... he... he!" — Chwyciłem za kapelusz, by odejść... ten człowiek nie był wart, aby się nań obrażać. — Lecz jego coś tknęło; zatrzymał mnie: — „A weź się, kolego, lepiej do rzetelnej pracy, bo szkoda młodych sił — szkoda... (*przez nos:*) szkoda!" — Syknąłem przez zęby, że od takich mamutów rad nie potrzebuję... i poszedłem — o Boże!

Słyszeliście moje poezje — i podobały się wam — o przyjaciele moi — wiedziałem to. — Ale cóż? Ci redaktorzy łamią mnie, talent drogocenny zabijają we mnie. — I czyż nie mam słuszności, twierdząc, że wszystko to filistry — zjadacze chleba — manekiny? — Czyż nie mam racji? — Zgłaszam się do innych pism... nie było odpowiedzi...

Ha! —

I trzeba było zrezygnować! — Idę do pracy, jak radził ów redaktor — idę nieszczęsny. — (*Zdejmuje wolno kapelusz, pelerynę zwija, układa na podłodze.*) Ha! oto zeszyt... Oto reszta mojej poetyckiej jaźni — oto popioły moje!... Spoczywajcie! — Idę w tłum! — A gdy dorobię się kiedyś pieniędzy, wydam moje poezje i prześlę je w upominku wszystkim redaktorom!...

—o—

STRACH PROSI NA KOLACJĘ.

(Należy opowiadać jako własną przygodę — dodając lub ujmując i zmieniając niejedno; najlepiej wieczorem o zmierzchu.)

Opowiem też państwu jedną rzecz... Uprzedzam zgóry, że zabobonnym nie jestem, nie wierzę, ani w pokazywanie się duchów... ani w kuszenie na rozstajnych drogach... ani w tańczące w koło świecy djabły... jednakże... jednakże są momenty w życiu człowieczem, że... no nie chcę nikogo straszyć... można mi wiarę dać lub nie... zresztą może lepiej, że nie opowiem wcale.

(Wszyscy naturalnie proszą, żeby mówić... owszem budzi się zajęcie wśród słuchaczy.)

Otóż, jeśli państwo życzą sobie koniecznie, abym opowiadał... *(Chwilkę milczy, potem wzdrygając się: Nie! — tego nigdy nie zapomnę! Wiecie (szybko i żywo:) są czasem takie chwile, że czuje się zupełnie wyraźnie jak włosy na głowie (cicho, powoli:) wolno, wolno podnoszą się jeden za drugim... a w plecy robi się zimno... kolana zaczynają dygotać... palce zaciśkają się kurczowo... a na skroń występuje pot... kroplisty. — (Po chwili:) Nie! proszę państwa (gorączkowo:) to jest tak okropne, że tego się nigdy nie zapomina! (Po długiej chwili:) Opowiem — było to dość dawno... a jednak pamiętam jak dziś, jak dziś... było nas właśnie tyle osób w pokoju (liczy i wymienia liczbę osób, które się właśnie w pokoju znajdują), tak... pokój, nie wiele większy od tego... drzwi — tak... (pokazuje na jakiś szczególnie ciemny, niemiły kąt*

pokoju) i coś takiego denerwującego w powietrzu — jakiś szczególnie ponury wieczór (do siebie:) — jak dziś. (Głośno:) Siedzimy chwilę cicho... nikt nie mówi... a tamte drzwi (pokazuje znów w kąt pokoju) — były zamknięte na klucz z drugiej strony. Wtem... coś skrzypnęło... Wacek (imię można zmienić) powiada, że to duchy; chciałem się zaśmiać — nie mogłem... i nikt nie mógł się śmiać... Chciałem coś mówić (coraz gorączkowiej i z przestachem:) nie mogłem ust otworzyć — jakby mi je kto zaciął — i — (pauza) — nikt nic nie mówił... wszyscy milczeli... (Głośniej:) Chciałem lampę przynieść... już... już podnoszę się... a wtem — po raz drugi coś zgrzytnęło — zupełnie, jakby kto w lochach podziemnych klucze przekręcał... Nie mogłem się ruszyć — wszyscy siedzieli jak trupy — patrząc tam — (pokazuje kąt) a w pokoju było ciemniej i ciemniej... (ciszej, wolno:) a nam było coraz straszniej i straszniej... tak jak teraz... a tam — (wyciąga palec do kąta) tam — (cicho z przestachem, chwytając się drugą ręką za głowę:) tam — nagle — ukazuje się... postać... wysoka — biała — wyciąga ręce — (ręce wyciąga) i idzie — (wstając szywno idzie) idzie — (z szalonym przestachem idzie) ku nam... Strach!... kamienieję... przymykam oczy — znów patrzę — patrzę... a... to... (chwila milczenia i nagle wesołym głosem:) moja ciotka, która nas prosi na kolację. (Należy w tej chwili wnieść lub zapalić światła, aby zmienić nastrój na wesoły.)

KONIEC.